Lwów, 24. Maja. №61. Rok 1855.

# NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartał. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za następ- po **1** ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

## WIENIEC CIERNIOWY.

### Rozdział X.

### ZARĘCZYNY.

(Ciąg dalszy.)

Wesołe to były chwile, wesoły dzień w zamku Słobódeckim; nie dość więc, że się tak prędko skończył, i że aż do dnia póżnego wieczora przeciągano biesiadę. A po biesiadzie?. a ktożby tam medytował o jutrze, kiedy dziś tak wesołe. Przy świecach już wstało towarzystwo od stołu. Goście wrócili do salonu nazad w tym samym porządku. Kochankowie przez cały czas byli razem, i przeżyli chwile takie, jakie tylko wyobraźnia poety nie stworzyć, ale słabo naśladować zdolna, jakie na zawsze zostają w pamięci; gwiazdy mleczną drogę ciągnące się po niebie zaciemnionem przeszłości.

Xiąże Józef wystąpił kilka kroków naprzód i przywoławszy młodą parę do siebie, przemówił do obecnych przedstawiając im młodego Witołda jako przyszłego kolegę, który chce z niemi dzielić trudy i niebezpieczeństwa wojenne.

— Słusznie więc, dodał, abyśmy koledze naszemu byli świadkami przy jego zaręczynach z panną Antoniną Wolińską; wróciwszy będziemy mieli prawo, być na jego weselu.

— Ładna para mruknęli w około.

I zaprawdę śliczna to była para z zapałem szlachetnej miłości w oczach, a rumieńcem niewinnym na twarzy.

— Cóż to znaczy?.. zapytał pan Artur zbliżając się do brygadiera.

Pan Artur znajdował się tam z czystej ciekawości, i przeciw zwyczajowi nie bardzo dla tego występował na przód. On był tam inkognito, wprawdzie jako przeciwnej strony zwolennik, mógłby był stanąć w jej szeregach, lecz on wraz z xięciem Mieczysławem, należał do polityki expektującej, polityki pewnym ludziom nader ulubionej.

— Cóż ma znaczyć?. panna Antonina zostanie żoną pana Witołda Siarkowskiego, mówił brygadier zaciskając zęby.

— Tak!.. szyderczym głosem odrzekł Artur. Jak się zdaje, pan brygadier oddał zupełnie władzę z rąk swoich... Tu podobno w krótce ten cham świeżo na panicza wykierowany... ten tak podobny do xięcia Józefa, nad którym i on i pani brygadierowa tak bardzo się rozczulają, ten zapewne będzie wszystkiem w domu rządził... a my w kąt panie brygadierze! nie prawdaż?..

— Tak pan myślisz? odrzekł brygadier zgrzytając zębami; możesz się pan pomylić!

—Być może, dodał Artur lekceważącym tonem. Gdyby energja!..

— Energja!.. wyrzekł brygadier, znajdzie się i energja...

Artur spojrzał na niego z badawczą uwagą.

Na znak xięcia Józefa zbliżyli się: pani Wolińska, szambelan, i choć niechętnie, ale rozkazującym wzrokiem pociągnięty nasz brygadier. I w tej chwili do rąk Witołda i Antosi, wcisnęły się dwa pierścionki dane im przez xięcia i panią Krystynę; pierścionki mające służyć do zaręczyn, pierścionki które już dawniej zamienione zostały, do których wiązała się pamiątka dawnej miłości, dawnego szczęścia, dawnego węzła, zerwanego na zawsze.

— Oby tym dzieciom przynajmniej lepszą stały się wróżbą! przemówiły rozczulone oczy xięcia Józefa i pani Wolińskiej.

Oboje młodzi drżeli od wewnętrznego wzruszenia. W ich sercach młodych i niewinnych obrzęd ten w przeddzień wielkiej wyprawy narodowej nabierał znaczenia uroczystego i świętego prawie. Spojrzeli sobie w oczy.

— Do śmierci!. przemówiły ich oczy usta i serca.

Po cóż to smutne słowo mieszać do naszych przysiąg i obietnic?. Bo śmierć — niestety!.. i chwała Bogu!. jest konieczną granicą wszystkich serca naszego uderzeń, czy biją ku niebu, czy ku piekłu, rozkoszą, czy rozpaczą!..

Zamieniali pierścionki wśród ogólnego milczenia, xiąże Józef z uśmiechem zadowolenia na twarzy połączył ich ręce; pani Wolińskiej wzrok wzniósł się ku niebu, a łza spadała powoli po licach ku ziemi. Szambelan z otwartą tabakierką, udający lekkiego ucieszonego światowca, mimo wewnętrznego wzruszenia, które twarz jego barwiło najzabawniej, był nadzwyczaj pociesznym.

Brygadier nareszcie stał z boku nieruchomy i obojętny na pozór, ale ktoby przypatrzył mu się z uwagą, przestraszyłby się na widok zjadliwego wzroku jaki rzucał na żonę i Witołda.

Wzrok ten był pełen złowrogiej śmiertelnej nienawiści.

— Nie tryumfujcie zawczasu! zdawał się mówić.

Jak wszystko w świecie, ta scena miała obok strony szczytnej, swoją stronę śmieszną. Jest to smutna prawda, którą odgadł jeniusz Szekspira, targający nas do dziśiaj za serca tem przerażającem połączeniem. Cóż więc dziwnego, że w kilka miesięcy po czasie który w tej powiastce opisujemy, połączeniem tych dwóch sprzecznych myśli uderzony ów mąż który jenijalną wielkość człowieka wyniósł do bajecznej szczytności wyrzekł:

— Du sublime au ridicule, il n-y-a qu' un pas.

— Obyście byli szczęśliwi!. wyrzekł xiąże Józef z powagą i uczuciem.

— Szczęśliwi doszepnęła matka.

Pan major Kamyczkowski, który lubił przy każdej scenie jakąś odgrywać rolę, i wielkie miał wyobrażenie o zdolnościach swoich przy urządzeniu wszelkich uroczystości, które bardzo mu do smaku przypadały, chciał właśnie dać przez okno znak chustką, aby kapele wojskowe na dole stojące urznęły na wiwat zaręczonej parze, gdy nagle otworzyły się drzwi wchodowe, i z niemałem zadziwieniem przytomnych, wszedł przez nie prosty chłopak w siermiędze, który w zamku nie zdybawszy nikogo ze służby, aż do sali wszedł.

— Paniczu! zawołał.

Słysząc głos znany obejrzał się Witołd, i poznał młynarczyka klasztornego, dawnego lat jeszcze dziecinnych towarzysza. Na widok jego przestraszył się sam nie wiedząc dla czego. I miał słuszność; dowiedział się bowiem od niego, że przed parą godzinami przyjechał ojciec Dominik z swojej podróży, i nagle zapadł tak gwałtownie, że ledwie braciszek Symforyn, który prócz kanafarstwa i leczeniem się zajmował, puszczeniem krwi przyprowadził chorego do przytomności.

— Spieszcie się paniczu!.. dodał młynarczyk, bo ojcowie mi mówili, że niema żadnego ratunku, a on was chce widzieć koniecznie.

— Biedny mój ojciec! zawołał Witołd, który w tej chwili zapomniał o wszystkiem, o szczęściu i nadziejach własnych, a pamiętał tylko o tym, który mu był od dzieciństwa najlepszym ojcem. Jadę zaraz... i ledwie miał przytomność pożegnać się.

— Jedź!.. powiedzieli xiąże i Krystyna.

— Jedź! szepnęła mu Antosia, ale wracaj... mój drogi, jak najprędzej.

— Wrócę!. odrzekł rzucając na nią spojrzenie tak smutne, aż się jej serce po raz pierwszy w życiu ścisnęło jakimś niepojętym bolem. On nie może umrzeć! dodał, on musi nas połączyć!.. on tylko!..

I uścisnąwszy rękę narzeczonej, konwulsyjnym prawie uściskiem, wybiegł z pokoju.

Wszyscy milczeli w sali, uderzeni tym trafem smutnym który przerwał wesoły obrzęd jakby grom z pogodnego nieba wypadły. Do takich gromów ludzie by się przyzwyczaić powinni, ale niemogą!. W ogólnem milczeniu rozszedł się po sali tętent czwałującego konia, oddalający się coraz więcej, coraz cichszy.. Tętent ten odbił się w sercu Antosi; ale dla czego tak boleśnie? dla czego za każdym cichszym głosem, zdało jej się, że się w jej sercu urywa coś, niteczka po niteczce?.. dla czego?.. bo są chwile w których szepcze nam w ucho głos jakiś tajemniczy złowrogie słowa przyszłości.

Tętent konia już zamilkł, ale natomiast rozległ się odgłos zbliżającej się burzy; od czasu do czasu rozlegał się grzmot daleki, i łyskawica migotnem przemknęła światłem. Burza była jeszcze daleka, i zdawała się grozić tylko przyszłem niebezpieczeństwem.

Biedna Antosia, czuła ona potrzebę łzów, i płakać nie mogła, przycisnęła się tylko do matki, jakby u niej szukała ratunku, naprzeciw temu nowemu uczuciowi zwątpienia, które po raz pierwszy podniosło ku niej swe poczwarne oblicze.

Zaraz po odjeździe Witołda niepostrzeżony od nikogo, wyszedł brygadier z sali. Nikt tego nie uważał prócz pana Artura, który dziwnym jakimś wzrokiem popatrzył za odchodzącym.

---

## Rozdział XI.

### PALEC OPATRZNOŚCI.

Wróćmy teraz do naszego bohatyra. Przybywszy do klasztoru zastał ojca Dominika konającego już. W skutek wieku zapewne, i odbytych w czasie podróży trudów, zasłabł nagle na rodzaj paralitycznego napadu. Puszczenie krwi przywiodło go na chwilę do przytomności, ale osłabiło jeszcze więcej. Walczył ze śmiercią, która już się rozciągała cieniem po twarzy sędziwej gdy przybył Witołd, na którego staruszek czekał z upragnieniem, natężając ostatnie siły swoje, by się do jego przybycia przy życiu utrzymać.

Uśmiechnął się ojciec Dominik ostatnim uśmiechem na widok ulubionego młodzieńca, który z uczuciem szczerego przywiązania ukląkł przy jego łożu. Długo pasował się staruszek sam z sobą, zanim zdołał przyjść do siebie, oczami tylko ku niemu zwróconemi, i ostatnim rąk poruszeniem błogosławił mu. Nareszcie odzyskał tyle siły by przemówić do niego.

Czując zbliżającą się śmierć, zdało mu się być obowiązkiem odkryć młodzieńcowi całą prawdę jego pochodzenia, tem więcej że od dawna sumienie własne srogie mu czyniło wyrzuty. W ostatniej chwili wszystkie pozorne powody, jakiemi się przez życie uwodził, wydały mu się blahemi.

— Niemam prawa mój synu! mówił staruszek, ukrywać dalej przed tobą znaną mi od dawna tajemnicę twego pochodzenia, i może zgrzeszyłem żem taił dotąd. Przebacz mi Witołdzie, a i Bóg łaskawy raczy przebaczyć, widząc serce moje.... bo ja cię moje dziecko kochałem szczerze...

— Ojcze drogi!.. wołał Witołd wzruszony.. nie męcz się... ty będziesz żył jeszcze.

— Nie mój synu!.. chwila rozstania bliska.. Słuchaj więc; ale o to ciebie proszę, ostatnia prośba kochającego cię starca, przyjm to odkrycie sercem bogu poddanem, i cokolwiek się dowiesz, nie unoś się, ale cierpienie czy radość jaka z odkrycia wyniknie, ofiaruj tej opatrzności, która dotąd tobą tak łaskawie kierowała.. Boję się.. ale nie!. niech się dzieje wola boża.... muszę ci wszystko powiedzieć..

Witołd uroczystością tej chwili poruszony do żywego, słuchał staruszka z największą uwagą, i to tak naturalną w jego położeniu ciekawością... Będzie przecie raz wiedział kto jego matka, kto ojcem?.. a może żyją jeszcze?...

Opowiedział mu tedy staruszek całe swe zdarzenie w podpalonem przez brygadiera dworze, i późniejsze odkrycie że pani Wolińska jest jego matką.

— Więc on mnie chciał zabić!..... on dręczył tak moją matkę, i teraz jeszcze... moja biedna matka... ja przeczuwałem bo serce moje ciągnęło mnie od pierwszej chwili ku niej... ale brygadier ten!..

Tak mówił Witołd poruszany kolejno to radością ze znalezienia matki, to budzącem się po raz pierwszy uczuciem nienawiści.

— Uspokój się i bogu dziękuj, mówił dalej staruszek z coraz większem natężeniem, że ci taką dał matkę, i że ci pozwolił od tyla lat cieszyć się jej serdecznem przywiązaniem...

— A więc Antosia?.. krzyknął Witołd nagle i przeraźliwie.

— Antosia jest przybraną córką twojej matki.... której od dawna to było najtajemniejszem życzeniem, aby łącząc was, których tak kocha, mogła mieć prawo nazwać cię synem swoim...

Moja matka najdroższa!. zawołał znowu Witołd miotany na przemian sprzecznemi uczuciami. Więc on nie jest ojcem Antosi... dzięki ci Boże!...

— Uspokój się mój synu!.. błagam cię... bo czuję już niknące siły moje... a chciałbym wyspowiadać wszystko co mam na sercu.

I dokończył opowieści swojej staruszek, mówiąc mu wszystko co wiedział od pani Wolińskiej samej, która jak sobie przypominamy, odkryła mu całą przeszłość swoją..

— Rozumiem teraz wszystko!. wołał młodzieniec.. On jest ojcem moim...

— Ojcem twoim!.. powtórzył staruszek nie bez smutnego wzruszenia.

— Nie! nie! ty jesteś, ty zostaniesz zawsze ojcem moim... tyś mnie porzuconego wziął do siebie, i wlałeś we mnie to co czuję.

Młodzieniec mówił z zapałem, i z zapałem całował zimne już i kostniejące ręce starca.

Na koniec opowiedział mu staruszek urywanym i coraz mniej wyraźnym głosem wszystkie powody, dla jakich milczał przed nim, obwiniając się najmocniej, że było to może skutkiem egoizmu, i żądał od niego przyrzeczenia, iż bogu zostawi wymiar sprawiedliwości za popełnioną zbrodnię.

Słabł coraz więcej głos starca, oczy jego nadaremnie się wytężały, by uchwycić jeszcze westchnienie z przedmiotów, które znikały już przed jego wzrokiem. Jeszcze kilka słów urwanych, kilka westchnień... jeszcze jeden uścisk, silny, serdeczny, ostatni, którym żegnał wychowańca swego, i nieruchomy padł na swe łoże. Duch poczciwego starca wzniósł się ku niebu.

Młodzieniec klęczał ciągle i patrzał w oczy które już na niego patrzeć nie będą, w usta, co nie przemówią i nieuśmiechną się do niego.

— Skonał, mówił sam do siebie, i niechciał sam sobie wierzyć. A gdy pozostał nareszcie, przymknął starcowi oczy i braciszków powoławszy do umarłego, bohatyr nasz wyszedł z pokoju, zmieniony wewnętrznie do niepoznania prawie. Zdało mu się że się utworzył szeroki nowego życia widnokrąg i to życie wydało mu się w innem jak dotąd świetle.

— Mam matkę, mam ojca!.. szeptało mu w uszy.

— Ale się przyznać niechcą i niemogą do ciebie, urągał mu zły duch.

I cały szereg nowych myśli rozwijał się w głowie młodzieńca rozpalonej i wzruszonej. A pomiędzy temi myślami niestety!.. wedle ludzkiej słabości!.. rosła i olbrzymia myśl nienawiści do brygadiera..

— On chciał cię zabić... i odebrał ci to co miałeś najdroższego, pieszczoty matki dla niemowlęcia, dla dziecka... szeptał mu zły duch.

— Ale masz matkę która cię tak kocha, masz kochankę, narzeczoną!.. śpiewał w ucho dobry duch młodzieńca.

— Matkę twoją zrobił nieszczęśliwą! ciebie nienawidzi.. i Antosię chciał ci wydrzeć, by oddać w ręce tego rozpustnego Artura... syczał mu znowu w ucho zły jego duch.

Takiemi myślami i uczuciami miotany, dosiadł Witołd konia swego, i coraz szybszym pędem gonił ku czekającym go, matce, ojcu, narzeczonej... i wrogowi!...

Droga do Słobódki wiodła przez gęsty i czarny las, który się od samej prawie ciągnął rzeki. Krótsza ta droga znana naszemu bohatyrowi, który tędy tylekroć przejeżdżał, była właściwie leśną drożyną wiodącą do starego zrębu, przez który właśnie Witołd przejeżdżał. Smutne to było i samotne miejsce, przez które przyzwyczajony tylko koń

mógł przejechać bez szwanku, co krok bowiem leżały złomy na pół spruchniałe starych drzew, i sterczały z wysokiej trawy stare pniaki lub chromoczące pod nogami gałęzie.

Koń instynktem wiedziony zwolnił kroku, lecz Witołd nadto był własnym oddany myślom, aby zważał na to; wszakże nawet burza coraz więcej wzmagająca się nie wzracała uwagi jego. A przecież w tym lesie burza z gromami, rozbiegającemi się dzikiem echem po gęstwinie, z tym wichrem który co chwila zahukał przeraźliwie pomiędzy drzewa, jakby glosy dzikich źwierząt, z tą nareszcie ciemnością jeszcze okropniej się wydawała, po każdej łyskawicy, oświecającej światłem fantastycznem wysokie drzewa o szerokich konarach, jakby olbrzymów o stu rękach.

Wyjeżdzał właśnie na szerszą nieco polankę w starym zrębie przez którą leśna biegła ścieżka, i już się zawracał ku szerszej drodze, prowadzącej prosto do Słobódki gdy w pośród chwilowego burzy przestanku, ozwał się z boku jakiś głuchy i dziwny odgłos, jakby nagle ułamanej gałęzi suchej. Jakkolwiek ten łomot trwał krótko, a Witołd był zanadto roztargniony, przecież zwrócił jego uwagę tak dalece, że zwrócił głowę w tę stronę, z kąd się ten ozwał łoskot i nawet przez krótką chwilę zatrzymał konia. Zdało mu się, że coś łysnęło z po za drzewa, jakby oczów parę, lecz nie zważał na to więcej i zawrócił konia, myśląc że to przywidzenie, albo zresztą zaświeciły oczy kota.

Nie przywidzenie to było, ani też świeciły oczy kota, ale świeciły oczy ukrytego za drzewem brygadyera. Namiętny charakter tego człowieka, przyzwyczajonego wszystko i wszystkich poświęcić swoim kapryśnym zachceniom, nie mógł wytrzymać tego położenia w jakiem się znalazł nagle naprzeciw żony i księcia Józefa, i tego jakąś szatańską sztuką z płomieni wyratowanego naumyślnie, aby teraz stali wszyscy naprzeciw niemu jako winowajcy, jako zbrodniarzowi, z pogardliwą litością... Drwiny Artura jeszcze go więcej rozjątrzyły, naprowadzając na tę myśl, że już wszystkim wiadome to jego bezsilne, skrępowane, haniebne położenie.

I miałże wszystko stracić od razu, i pozostać wyśmianym, pogardzonym, odartym ze środków zagłuszenia się rozpustą? I patrzyć na ich radość, wesele, sam bezsilny podeptany?..

— Nie!.. mówił mu w ucho szatan, który dawno zamieszkał piersi jego.. A zemsta!...

I w takiej to chwili złowrogiej, która jak to każdy doznał w życiu, zda się być prawdziwem szatana natchnieniem, wybiegł z sali, zabrał co miał najkosztowniejszego, dosiadł konia z myślą by więcej nie wrócić.

— Zemszczę się!... mówił sam do siebie; a potem... potem... zbiegnę do tych, którzy staną naprzeciw niewdzięcznemu mu księciu. A jak się jemu i im noga powinie... wrócę nazad do majątku... który już w ówczas będzie moim... Ja będę już w ówczas panem... a oni mnie słuchać będą musieli! ze zwycięzcami wrócę mścić się na powstańcach...

Zaśmiał się w duszy na tę myśl.. bo z jednej złej myśli rodzi się tysiąc innych gorszych.. i pojechał z niemi w czarny las, by się tam przy zrębie ukryć, i czekać na ścieżce, którą jak wiedział z doświadczenia, konni zwykli byli przejeżdżać by sobie skrócić drogę...

Łoskot jaki Witołd usłyszał, był to łoskot pochodzący z naciągnionego w pistolecie kurka.

I łysnęło nagle, wypadł strzał, a Witołd porwał się za głowę... Kula lekko tylko zraniwszy prześliznęła się po głowie, roztaczając tylko krwi ślady na starej bliźnie. Zdziwiony więcej niżeli przestraszony, wytężył nasz bohatyr oko, aby dostrzedz, z kąd ten niespodziany wypadł strzał. I jak na tóż, by dogodzić jego życzeniu, przemknęła przez całe niebo przeciągła łyskawica, w której swietle, postrzegł i poznał brygadiera, jak ten z za drzewa wysunięty, wypatrzył ku niemu oczy, i drugi nań podniósł pistolet.

Zawrzała po raz pierwszy gwałtownie krew młodzieńcza, z serca bijąc ku głowie.. W jednem mgnieniu oka przemknęły przez duszę tłumne myśli w chaotycznym nieporządku..

Więc go już raz zabić usiłował, i teraz znowu podły morderca czycha na niego.. ten co mu chciał wszystko wydrzeć i wydarł tyle. To już było nadto.

— Możesz się zemścić! zaszeptał mu w ucho szatan gniewu, wszak zemsta twoja będzie własną obroną.

Pierwsza czarna myśl przebiegła mu przez głowę, z której ściekały gorące krople krwi, i nie miał nawet czasu do namysłu. A myśl tak łatwo przychodziło mu w czyn przemienić, bo przygotowany już do wojennej wyprawy, miał nabite pistolety w olstrach.

I bez namysłu porwał za jeden z pistoletów; nie mierząc nawet wystrzelił. Jęk przeciągły rozległ się po lesie; na huk strzału przyszedł do siebie Witołd, i przestraszył się własnego czynu. Skoczył z konia, i za głośnem idąc stękaniem, stanął nad leżącym na ziemi bregadierem. Kula trafiła go nieszczęśliwie w same piersi, strumień krwi lał mu się z rany. Cierpieniem i złością miotany wił się ranny po ziemi. Witołd przyskoczył do niego, i w tej chwili dopiero opamiętał się, a przecież nie umiał sobie zdać rachunku z tego co się stało.

— Ty jesteś zabójca! krzyczało na niego sumienie.. Zabójcą! dzwoniło mu bez ustanku w uszach.

Biedny młodzieniec nie mógł tego pojąć, że przed godziną jeszcze niewinny, śmiał się stać zabójcą. (C. d. n.)

## SIEROTA.

Dwa ptaszęta z za Dunaju
Do cudzego lecą kraju —
W cudzym kraju — bez zagrody
Tęskni, płacze chłopiec młody.

— Ptaku, ptaku, złoto-pierze!
Luba do mnie cię przysłała —
Powiedz, czy mnie kocha szczerze,
Czy innego pokochała?

— Zrazu chodziła w żałobie,
Coraz mniej śniła o tobie,
W końcu jeść mi nie dawała,
Bo innego pokochała!

— Czarny ptaku z główką białą,
Cóż to się tam w domu stało?
Ty od matki lecisz z klatki,
Cóż przynosisz mi od matki?

— „Leć o ptaku z główką białą,
Rzekła do mnie — leć co siły!
Powiedz że mnie łez nie stało,
Żem spać poszła — do mogiły!«

Dwa ptaszęta z za Dunaju
Od cudzego lecą kraju —
W cudzym kraju — bez zagrody,
Sam pozostał chłopiec młody.—

J. C. Z.

## BIBLIOTEKA POLSKA.

Wspomnieliśmy już o tem przedsiębierstwie zupełnie prawie nowem u nas, a które może się stać tyle ważnem i pożytecznem, iż stanowićby mogło epokę w piśmiennictwie naszem.

Dziś gdy zapowiedziana *biblioteka polska* zaczyna wchodzić w życie, wydaniem pierwszego zeszytu zawierającego Marję Malczewskiego, jest zdaniem naszem na czasie zwrócić na to przedsiębierstwo uwagę powszechności, od której to głównie zależyć będzie, iżby to przedsiębierstwo, rozwinęło się jak najobszerniej, i w kierunku jak najpożyteczniejszym. Jakoż w tym celu myśl naszą szerzej rozwinąć zamyślamy.

Biblioteka polska mająca zawierać wedle pierwotnego ogłoszenia 1000 trzy do czterech arkuszowych zeszytów, czyli 150 do 200, 20 arkuszowych tomów, i w której wydawca zamierza umieścić nietylko przedruki dzieł dawnych i pożytecznych, ale i dzieła lepsze autorów żyjących, lub nawet utwory umyślnie ku temu napisane, aby zapełnić pojawiający się brak w tym lub owym kierunku, biblioteka taka, jak każdy łatwo pojmie, jest już dla samej swej wartości przedsiębierstwem godnem powszechnego współczucia, i współdziałania.

Lecz co jest zdaniem naszem ważniejszego nad to wszystko, jest to zaiste, iż to przedsiębierstwo gruntuje się na podstawie *tanich druków*, których pożyteczność dla piśmiennictwa i ogólnej oświaty jest nie do wyliczenia prawie. I dlatego mówiliśmy, że to przedsiębierstwo stanowić może epokę, bo tanie druki, mogą niezawodnie inny zupełnie nadać zwrot dzisiejszemu piśmiennictwu i wydawnictwu polskiemu. Wiemy z doświadczenia, że od lat kilkunastu zamiłowanie w literaturze polskiej wzmogło się u nas do wysokiego stopnia, i nie brakuje nam zupełnie na ochocie do czytania i kształcenia się na dziełach polskich. Lecz z drugiej strony książki polskie droższe o wiele od francuskich i niemieckich, należą u nas do zbytku prawdziwie, który możliwy tylko dla zamożnych, jest niepododobnem dla tych właśnie, którzyby najwięcej z czytania korzystać mogli i powinni, to jest dla młodzieży. Najmniejsza powieść polska kosztuje trzy do czterech, a większa, sześć do ośmiu reńskich w srebrze. Nie robimy z tego zarzutu naszym księgarzom, których stosunki wzajemne i okoliczności lokalne są tego rodzaju, iż niepodobieństwem prawie byłoby dla nich usunąć trudności, z jakiemi w tej mierze walczyć muszą; podnieśliśmy jeno fakt niezaprzeczony, stojący oczywiście na zawadzie rozprzestrzenieniu literatury polskiej, a zatem i oświaty polskiej.

Każdy bowiem bezstronny wyzna, że pomiędzy najoświeceńszymi u nas, znajdują się ludzie wykształceni w literaturze i dziejach zagranicznych, a mało znający własną literaturę, własny język, własne dzieje, bo gdy im z łatwością przychodzi czytać najlepsze a tanie zbiory i wybory dzieł niemieckich i francuskich, jest dla nich niepodobieństwem obznajomić sie z literaturą ojczystą, o której, jak stała dawniej, jak się przerobiła, do jakiego przyszła stopnia, najmniejszego niemają wyobrażenia.

Fakt ten tak dla nas szkodliwy, i rzecby można tyle nas krzywdzący, niczem innem znieść nie można, jak tylko rozprzestrzenieniem jak najtańszych druków. Co tanie druki działać mogą, mieliśmy już za pamięci naszej przykład uderzający.

Przypomnijmy sobie co zrobiła Matyca czeska, która z małego począwszy się źródełka, tanie swe druki coraz szerszem korytem rozlala po całej ziemi czeskiej; Matyca czeska za naszych już czasów stworzyła czytelników czeskich, literaturę czeską, oświatę czeską, a nawet poniekąd powiedziećby można naród czeski, a przynajmniej przyłożyła się najdzielniej do rozwinięcia narodowości czeskiej. Tej prawdzie nikt nie zaprzeczy.

Małą próbkę mieliśmy i u nas; jedną z powieści Dierz-

kowskiego Salon i Ulica wydane w dwutysiącach przeszło exemplarzach przedawano tom dosyć gruby po 20 kr. w srebrze; w przeciągu kilku miesięcy cała edycya została rozsprzedana, tak że już zupełnie znikła ta powieść z handlu; a co więcej i rzadziej u nas się trafia i wydawca i autor wyszli dobrze na tem.

Do tanich wydań należy także i nasze pismo czasowe „Nowiny”, które dla niezwykłej swej taniości w przeciągu roku stanęło na niezwykłej u nas stopie.

Przekonanie to o pożyteczności i konieczności tanich druków przyjęło się i u nas już. W r. 1847 i na początku r. 1848 Zakład Ossolińskich usiłował wziąć to przedsiębierstwo na siebie pod kierunkiem owoczesnego kuratora xięcia Lubomirskiego, który sprowadził ku temu i nową machinę i czcionki, a nawet naradziwszy się z literatami urządził porządek w jakim następować miały serjami pewnemi, przedruki dawnych dzieł, i wydania nowych autorów. Zdarzenia ówczesne przerwały to przedsiębiorstwo, w samem jego zawiązaniu.

Biblioteka polska wydawana przez Kazimierza Józefa Turowskiego, nakładem i drukiem Karola Pollaka, posiadającego swoją własną drukarnię w Sanoku, jest niejako urzeczywistnieniem tej pożytecznej myśli; na drodze bowiem prenumeraty, zeszyt jeden drukowany na wcale pięknym papierze, nie z szarlatanerją księgarzy warszawskich, wileńskich i petersburskich, którzy najmniejszą powiastkę wydymają do kilkotomowej objętości, ale ściśle chociaż czytelnie drukowany, zawierający trzy do czterech arkuszy miernego oktawa, kosztuje 18 kr. w srebrze.

Przedpłaciwszy za 6 zeszytów pierwszych 1 zł. i 6 kr. z góry, które się odbiera przy 6 ostatnich zeszytach, i płacąc pomału bo po 18 kr. za każdy zeszyt, można w przeciągu lat kilku przyjść do najkompletniejszego i najrozmaitszego zbioru dzieł polskich kosztem stosunkowo nadzwyczaj tanim.

Z tego już stanowiska wychodząc, uważamy bibliotekę polską za przedsiębiorstwo zasługujące na to, by je powszechność nasza wzięła pod swoją opiekę, i licznemi przedpłatami wprowadziła w życie i pożytek praktyczny. Jakoż tylko opieka powszechności i jej przyczynienie się może to przedsiębiorstwo utrzymać, i ku ogólnemu zakierować pożytkowi. Wydawca sam jeden z najlepszemi chęciami, których daje dowód niezaprzeczony, i które podnieść tu mamy za obowiązek, nie może temu przedsiębierstwu podołać bez współdziałania powszechności. Rzecz ta jest nadzwyczaj prosta i jasna...

Pożyteczność tanich druków, jak już wyżej mówiliśmy, na tem się głównie zakłada, że się przez nie czyni możliwe rozprzestrzenienie oświaty. Tanie druki mogą i powinny przyjść do jak najniższych i jak najmniej zamożnych warstw społeczeństwa. Głównem zatem zadaniem zbioru takiego jakim wedle ogłoszeń ma być biblioteka polska, być powinno, aby miał wzgląd i na tych, którzy już do czytania są przyzwyczajeni, i na tych mianowicie, których dopiero do czytania przyzwyczaić potrzeba. Bo to właśnie największem może i powinno być dobrodziejstwem takiego przedsiębierstwa, żeby stworzyło niejako czytelników. Praktycznie i po prostu te rzeczy biorąc idzie o to, aby ci wszyscy, którzyby chętnie czytali po polsku, a czytać nie mogą dla drogości książek, dostali w ręce tanie dzieła polskie, a dostawszy, rozmiłowali się w czytaniu tychże dzieł polskich, i pomału tak się do tego przyzwyczaili, że w końcu zbiór tak obszerny bo 1000 zeszytów zawierający, może postępując z przedmiotów dalszych do trudniejszych, stać się niezaprzeczoną szkołą oświaty polskiej, bo na polskich dziełach i wzorach wykształconej.

A zatem aby zbioru tego pożytek był jak być może najpraktyczniejszy, powinien on z początku mianowicie poddawać czytającym przedmioty leksze, któreby przywiązywały do czytania, i zrobiły je w końcu niezbędną potrzebą.

Że wydawcy rozumią to sami, i ku temu celowi dążą, widoczną zdaje się być rzeczą z samychże już ogłoszeń początkowych, w których oświadcza chęć układania się z pisarzami, nowszemi autorami, których większość składa się z powieściarzy i poetów; potwierdza nareszcie to mniemanie pierwszy zeszyt, zawierający Marję Malczewskiego, ten tak piękny poemat, tak polski prawdziwie, a zarazem tak przystępny dla każdego umysłu, bo poezja wieszcza z serca płynąca trafi do każdego serca.

Wiemy nadto z najpewniejszego źródła, że wydawcy weszli już w układy z powieściarzami znakomitszymi o nowe tak historyczne jak i obyczajowe powieści, i mają nakoniec na celu, w najbliższych zeszytach dać nam przedruki powieści Magnuszewskiego, dzieł Niemcewicza, Tańskiej, poezyi Kochanowskiego i t. d.

Wykaz autorów i dzieł przeznaczonych do przedruku, jaki został ogłoszony drukiem, nie może być w tej mierze uważanym za ostatnie słowo wydawców, którzy nie mogąc umieścić tego co później zdarzy się im nabyć, umieścili te mianowicie dzieła poważniejsze, które także w tym zbiorze znakomite zajmą miejsce. I niemożna temu zaprzeczyć, że biblioteka polska, tak jak my rozumiemy jej wydanie, nie może się ograniczać na samych lekszych utworach, ale powinna zawierać jak największą rozmaitość, zbieraną mianowicie na polu historycznem, encyklopedycznem, filozoficznem i estetycznem. Biblioteka ta, jeżeli ma być pożyteczną powinna nauczyć czytać po polsku, czuć i rozumieć po polsku, i mieć jak najkompletniejsze wyobrażenie o tem co się działo dawniej w Polsce, jakie były w niej umiejętności, jakie pojęcia i myśli, aby stało się możliwością gruntować na nich, stosowne do uczuć i postępu pojęcia i myśli nowe, ale polskie.

Jednem słowem biblioteka ta powinna stać się zarazem kursem polskim wykształcenia umysłowego jak najwszechstronniejszego, i prawdziwa biblioteka podręczna, dla każdej

rodziny polskiej, któraby służyła ojcu i matce naprzód, a potem dzieciom i nauczycielom, biblioteka, któraby o ile to być może zastępowała każdemu niemożliwą obszerniejszą bibliotekę, ze szczegółowych ksiąg drogo bardzo skupowanych złożoną.

I taką stać się może, jeżeli przy wyborze dzieł należyty wzgląd czynionym będzie na to jak wyżej powiedzieliśmy powolne obznajamianie powszechności z polską literaturą, i przyzwyczajanie tejże do czytania literatury polskiej.

Aby cel ten osiągnąć, trzeba w wielu przedmiotach nie tylko dzieł lekkich, ale i cięższych tak co do nauk i wiadomości do stopnia tegoczesnej oświaty zastosowanych, jak i co do krytyki i estetyki, dzieł zupełnie nowych, których mało nie znajdziemy w dotychczasowej literaturze naszej. Trudno jednak żądać aby jeden lub dwóch przedsiębiorców prywatnych mogło funduszami swemi osiągnąć ten cel, zazamawiając i kupując te wszystkie nowe a konieczne utwory. A chociażby ciż wydawcy znaleźli dwóch, trzech, lub więcej mecenasów takowych, którzyby z możnemi datkami poprzeć chcieli to przedsiębierstwo, musieliby koniecznie zastosować się w układzie i wyborze do najsumienszych może, ale zawsze indywidualnych zdań i zachceń takowych opiekunów.

Wielorakie doświadczenia nauczyły że w piśmiennictwie mianowicie, ta podległość konieczna woli mecenasowskiej zgubnie bardzo wpływała na przedsiębierstwa literackie. Najświatlejsi ludzie pomiędzy tymi mecenasami mogą mieć swoje często indywidualne upodobania do dzieł które choć nieraz najuczeńsze, dobre są do prywatnych bibliotek, ale zupełnie niestosowne do podobnych zbiorów, i ociężają je niepotrzebnie uczonym rzecby można balastem.

Najlepszym mecenasem jest cała powszechność, cały ogół; wówczas wydawca jeżeli jest człowiekiem sumiennym, w przedsiębierstwie swojem, a mianowicie takiem jak to o którem mówimy, zamierzonem na czas dłuższy, musi się zastososować do pożytku ogółu, do jego zdań głoszonych od czasu do czasu w pismach czasowych. (D. n.)

## Rozmaitość.

* **Z Bełzkiego.** Miłe to ustronie, niedawno tak malowniczo piórem nam przedstawione, niby arkadya ziemiey naszej, ciche, proste, i szczęsne, niby kraik polskich Maronitów; bo takim też jest on istotnie, przyroda bowiem, nieskąpiła mu swych darów, a mieszkańcy jego w samej rzeczy żyją zgodnie, przyjaźnie, bez obłudy i po bożemu, jak jedna rodzina, lub dawnych chrześcian drużyna; dziś jednakże to uśmiechające się zacisze, posępne niestety! i spłakane... Anioł śmierci wionął nad tą ziemią, i w przelocie swym uniósł nam cicho, niewidomie prawie, w rąbkach swych kirów najzasłużeńszą chrześciankę, matkę i obywatelkę, słowem, prawdziwą opatrzność opuszczonych, ś. p. Emilię z Karczewskich Polanowską, by ją złożyć u stóp Boga!

Po ośmiu dniach lekkiej pozornie choroby tyfoicznej, mimo najusilniejszych starań lekarskich, zgasła ta uosobiona, najczęściej ukryta dobroczynność na łonie rozpaczającej rodziny, w domu syna Wo. Feliksa Polanowskiegu w Opulsku, gdzie ją niemoc zaskoczyła. W dniu 10. maja na ręku zanieśliśmy i złożyli w grobie ten do niedawna jedyny może już w naszych stronach wzór dawnych polskich matron, prawdziwy przykład okolicy całej, bo umiała słodyczą i uprzejmością wszystko skupiać i jednoczyć obok siebie, i ztąd też każdy chętnie zawsze spieszył w Moszkowa progi.

Ta ostatnia usługa bratnia mimo ciężkiego w sercach żalu, lekką się jeszcze wydawała z nas kazdemu w porównaniu zasług i cnót zmarłej, w obliczu ku uczczeniu jej jak najliczniej zgromadzonego obywatelstwa, duchowieństwa, i ludu, obok wydzierających się mimowolnie jęków i łez rzewnych nietylko z piersi obecnego a stroskanego małżonka, synów, cor, zięciów i wnucząt, lecz płynących również po licu całkiem obcych nawet widzów każdej klasy, które to najpewniejszem wartości zmarłej są świadectwem: jak podobnież i to uporczywe nieledwie towarzyszenie pieszo w milowym blisko pochodzie jej zwłoków do rodzinnego grobu w Moszkowie ze strony dam, rówieśnic zgasłej, sąsiadek młodszych, rodziny i wychowanek, co przy macierzystem jej łonie wygrzane, wypielęgnowane, a później wyposażone, dziś niezależny byt swój zawdzięczają zmarłej dobrodziejce! albo tych, od żalu i bolu z bladem obliczem postępujących sierot, lub nieśmiejących publicznie żebrać, którym ś. p. E. Polanowska była tajemną, często Bogu tylko znaną ręką opatrzną!

W końcu, gdy i łzy kapłana, głoszącego na krawędzi już wiszącego spoczynku słowo pożegnania, mowę mu przerwały, jęk głośny i łkania rozległy się do koła, tak, jakgdyby jedno rodzeństwo wspólną żegnało i traciło matkę!

Od dawna niewidziano tu tak okazałego pogrzebu, jak podobnież tyle wymownej rzewności, i nieudanej żałoby, jaką śmierć ta rozpostarła, co niezaprzeczonym jest dowodem iż w osobie ś. p. Polanowskiej istotna matka *rodziny bełzkiej* rozstała się z nią do czasu, by znów kiedyś czekała ją z sercem macierzyńskiem w lepszym świecie, tam ją powitała i przycisnęła do miłującego łona, u stóp Boga!

*I. I.*

* Zapowiedziany przez nas festyn poświęcenia chorągwi dla batalionu grenadierów pułku hr. Coronini odbył się dnia 22 b. m. z wielką uroczystością. Na placu Jabłonowskich ogrodu rozbity był namiot z ołtarzem; przed nim armatury z broni ułożone. Dwa inne namioty przygotowane były dla dostojnych gości; trawnik cały zasłany kobiercami, a w koło obstawiony gustownie wazonami pomarańcz, cytryn i krzewów. Obecnemi byli przy tej uroczystości Najdostojniejszy arcyksiąże, Jego Exl. hr. Namiestnik z małżonką, Jenerał główno komenderujący hr. Schlik z wszystkimi jenerałami i liczną świtą. Podczas mszy dano trzy salwy po czem nastąpiło poświęcenie; pierwszy gwóźdź wbił kapelan pułkowy, drugi Jego Cesarzewiczewska Mość, trzeci JW. hr. Gołuchowska w zastępstwie Najjaśniejszej Pani, dalej jenerał komenderujący i z kolei wszyscy starsi i młodsi oficerowie, i po dwóch podoficerów i dwóch szeregowców z każdej kompanii. Kapelan pułkowy miał kazanie stosowne w języku węgierskim, po czem pułkownik miał przemowę treściwą, zakończoną hucznemi „Ellien!" Wieczorem kapela wojskowa odegrała serenadę JW. hr. Namiestnikowej. Wstęga do chorągwi darowana przez Najjaśniejszą Panią jest na srebrnem haftowana misternie złotem z dewizą.

* W głownym szpitalu wojskowym umarł 82 letni weteran zasłużony, sierżant p. Chauvaux, walończyk rodem, który w pułku hr. Nugent 63 lat służył bez przestanku aż do dzisiaj. Na pogrzebie szedł za karawanem Jenerał jazdy Clam-Galles i dwunastu jenerałów wraz z korpusem oficerów. Oprócz batalionu Nugent, były na pogrzebie oddziały z każdego batalionu pułków znajdujących się we Lwowie.

* W tych dniach przybędzie p. Beck, słynny barytonista opery nadwornej w Wiedniu na role gościnne.

* Występ panny Reich, spiewaczki z Krakowskiego teatru, w operze *Stradella* całkiem się nie powiódł, natomiast p. Steger w roli Stradelli, zachwycił wszystkich spiewem swoim.

* We wtorek wyjechała do Paryża nasza artystka dramatyczna p. Aszperger. Spełzła więc ostatnia nadzieja, zatrzymania jej przy scenie polskiej.

* Redakcja Nowin wyda na rok przyszły nowy kalendarz, któryby odpowiadał wymaganiom, jakie dziś czynią do tej dotąd upośledzonej literatury kalendarzowej. Od czasu jak wychodzą kalendarze u nas, ten lub ów zawierały one nieraz artykuły nie złe, obok wiecznych powtarzan jednych i tych samych potężnie oklepanych przedmiotów; lecz nic usiłowano dotąd zebrać razem wszytkie te wiadomostki kalendarzowe, uzupełnić je stósownie do wymagań postępowych, i ułożyć w pewną całość treściwą, i pożyteczną, bo przeprowadzoną logicznie. W rzeczonym tedy kalendarzu redakcya Nowin starać się będzie, o ile to w jej mocy będzie, ażeby te wszystkie usiłowania na drodze literatury kalendarzowej poczynione, skupić w jedno ognisko, i przedstawić jak najpopularniej, i jak najtreściwiej aby każdy mógł zrozumieć, i aby ci nawet którzy innych książek kupować nie mogą, mogli poniekąd poprzestać na wiadomościach w kalendarzu zawartych. Z tego też samego stanowiska wychodząc, redakcya Nowin wierna przekonaniu swemu za jakiem szła dotąd w wydawaniu pisma swego, że przedwszystkiem pisma dzisiejsze taniemi być powinny, co też okazało się najpraktyczniejszem, bo taniość pisma wpływając na liczbę prenumerantów, postawiła to pismo, na tej stopie, że się coraz więcej rozpowszechnia, i coraz więcej spożyć może sił literackich, trzymać się będzie i w redakcyi rzeczonego kalendarza tegoż samego prawidła; jakoż mimo że wydanie będzie ozdobne, format i papier biały, ten sam co w tem piśmie, a objętość daleko większa, cena nie będzie zwiększona; wynosić bowiem będzie po 24 kr. m. k. za Egzemplarz.

**Przyjechali** od dnia 21. do 23. Maja. do Lwowa.

PP. Turkiewicz Konstanty z Trześni. Eminowicz Kajetan z Smerykowa. Badeni Alexander hr. z Sądowej Wiszni. Niezabitowski Włodzimierz z Koropusza. Wisłocki Tomasz z Grabówki. Vivien Wincenty z Wysocka. Romer Antoni z Stanisławowa. Strzelecki Eugeniusz z Wyrowa. Komorowski Henryk hr. z Pawłowa. Brückmann Ludwik br. z Terszakowa.

PP. Zatorski Tadeusz z Załuża. Kleczkowski Franciszek ze Skomoroch. Jabłonowski Ludwik hr. z Nastassowa. Nowakowski Jan z Brzeżan. Turczyński Jan z Żółkwi. Meciński Franciszek z Huty. Domaradzki Seweryn ze Stryja. Romer Erazm z Hussiatyna. Maszkowski Ignacy z Nikłowic. Barański Michał z Radłowiec.

**Wyjechali** od dnia 21. do 23. Maja ze Lwowa.

PP. Cywiński Franciszek do Delejowa. Radziejowski Edward do Ditkowiec. Czermiński Ludwik do Żółkwi. Rozwadowski Wiktor do Babina. Kozaryn Ignacy do Ulicka. Łączyński Hipolit do Liska. Niezabitowski Włodzimierz do Koropusza. Zabierzewski Józef do Sambora.

PP. Strzelecki Jan do Kukizowa. Drohojowski Eustachy do Łukawicy. Trzciński Emil do Grzymałówki, Proksch Karol do Sanoka. Stankiewicz Stefan do Podlisek. Bal Franciszek do Tuligłów. Zakrzewski Adolf do Wiktorowa.

**Kurs telegrafowany z Wiednia 21. b. m. o g. 2 popołud**

| | | | |
|---|---|---|---|
| Augsburg za 100 złr. . | $126^{3}/_{4}$ | Pożyczka 5% | $80^{3}/_{16}$ $4^{1}/_{2}$ $69^{7}/_{8}$ |
| Hamburg za 100 tal. banco | $92^{1}/_{2}$ | Akcye banku . . . . | 993 |
| Londyn za 1 funt szterl., | 12 18 | Kolej północna . . . . . | — |
| Medyolan za 300 lirów | $126^{1}/_{4}$ | Obl. ind. . . . . . . . | — |
| Paryż za 300 franków . | $147^{1}/_{4}$ | Nowa pożyczka z loteryą | $102^{1}/_{4}$ |
| Agio duk. ces. . . . | $31^{3}/_{8}$ | Pożyczka narodowa . . | $85^{1}/_{16}$ |

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

| | Gotówka | | | | towarem. | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Dukat holenderski . . . . . . . . . | złr. | 5 | kr. | 47 | złr. | 5 | kr. | 50 |
| Dukat cesarski . . . . . . . . . | « | 5 | » | 51 | » | 5 | « | 54 |
| Półimperyał zł. rosyjski . . . . . . . | « | 10 | « | 3 | » | 10 | « | 8 |
| Rubel srebrny rosyjski . . . . . . . | » | 1 | « | 56 | « | 1 | » | 57 |
| Talar pruski . . . . . . . . . | » | 1 | « | 52 | » | 1 | « | 54 |
| Polski kurant i pięciozłotówka . . . . | » | 1 | « | 24 | » | 1 | « | 25 |
| Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu | » | 94 | « | 5 | » | 94 | « | 30 |
| Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu | | 72 | » | 30 | » | 72 | » | 50 |
| 5 proc. pożyczka narodowa . . . . . . . | | 84 | » | 30 | » | 85 | « | 20 |

Do dzisiejszego Numeru przyłączone są: rycina mód i arkusz krojów mantylek letnich. Oprócz tego dla tych, co od 1go Stycznia od razu półroczną złożyli prenumeratę, przyrzeczony portret J. Korzeniowskiego.



Wydawca i odpowiedzialny za redakcya: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**